

## Poznań polskim miastem

Od chwili, kiedy runęła przemoc niemiecka, gnio-tąca dotychczas Poznań, miasto jakby w płuca na-brnęło oddech polskiego i odżyło. W mig zniknęły wszelkie zewnętrzne oznaki, przypominające dawne czasy, a Poznań stał się znowu czysto polskim



**Poznań miastem polskim:** Budynek Komisji koloniza-cyjnej, obecnie siedziba Rady Narodowej.

miastem, stolicą kraju, który pod względem uświa-domienia politycznego i gospodarczego jest przy-kładem dla całej Polski.

Wszystkie ważniejsze gmachy niemieckie zna-lazy się obecnie w rękach polskich. I tak w bu-dynku dawnej komisji wywłaszczającej ziemię pol-ską osiadła Rada Narodowa. W najbliższych tygo-dniach w ręce polskie przejdzie wspaniały budynek teatru niemieckiego. W byłej cesarskiej rezydencji

przed kilku dniami osiadł powołany do życia w Po-znaniu uniwersytet poznański.

Otwarcie tego stało się dla Poznańskiego wiel-kim świętem narodowym.

Uroczystość rozpoczęła się w przybranej w zieleń i sztandary katedrze nabożeństwem o godzinie dzie-więtej zrana. Brali w niej udział wszyscy profeso-rowie z rektorem dr. Święcickim na czele, przed-stawiciele władz cywilnych i wojskowych, różnych instytucji i towarzystw i liczna, zapelniająca szcze-lnie świątynię publiczność.

Uroczystą, pontyfikalną Mszę św. w otoczeniu liczego duchowieństwa celebrował najprzew. ksiądz prymas, kazanie podniósł wygłosił ks. profesor kan. Łukomski.

Po nabożeństwie uformował się przed katedrą Pochód z muzyką i chorągwiami na czele i ruszył ku zankowi, gdzie w wielkiej sali tronowej odbył się dalszy ciąg uroczystości. Sala przybrana była zielenią i sztandarami. Nad tronek umieszczono Orła polskiego.

Przybył najprzew. ks. Prymas z asystą, generał Dowbór Muśnicki ze switą, członkowie ententy, do-szojnicy wojskowi i cywilni, grono gości z pod dawnych zaborów, prezydent miasta p. Drwęski, członkowie Naczelnej Rady Ludowej. Resztę sali wypełniła publiczność.

Chór odśpiewał kantatę ks. Giebnrowskiego pod batutą kompozytora. Mowę wygłosił pierwszy ksiądz Prymas.

Pan Poszwiński, komisarz Naczelnej Rady Lu-dowej oddał w imieniu Komisaryatu nową wszechnicę do użytku narodu.

Przemawiali następnie: prof. Święcicki, pierwszy rektor wszechnicy Piastowskiej, minister oświecenia

Łukasiewicz, jako reprezentant Sejmu suwerennego, w imieniu Akademii krakowskiej prof. Morawski; dalej prof. Uniwersytetu lwowskiego Dembiński i rektor Uniwersytetu warszawskiego prof. Kostecki, oraz imieniem studentów p. Mkołajczak. Pięknie nawoływał pan prezydent Drwęski młodzież do poj-mowania zadań. Ostatnie mowy wygłosili: delegat



**Poznań miastem polskim:** Dawny zamek cesarski, obecnie siedziba uniwersytetu polskiego.

z Kalisza, podnosząc znaczenie studyów prawniczych, biskup wileński, delegat Towarzystwa Naukowego, delegat Techników lubelskich, reprezentant młodzieży akademickiej poznańskiej, reprezentant akademików z Lublina, wreszcie imieniem kobiet dr. Rybicka-Dobrzyńska.

Kantata zakończyła nroczytost w zamku.

O godzinie 4 po południu odbył się w salach Bazaru obiad proszony, wieczorem zaś uroczyste przedstawienie, zakończone rantem w Bazarze.

Leon Daudet.

## Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłum. Marya Jsdwiga Migowa).

15

Gorzej było, kiedy Franciszek, nie krępując się obecnością starego przyjaciela ojca, którego uważał już zresztą za swego teścia, jął ze wzru-szeniem odświeżać wspomnienia swego dzie-ciństwa, spędzonego pomiędzy tatusem i ma-musią. Syn wywoływał postać ojca i wyraził nadzieję, że jeszcze go kiedyś zobaczy.

— Nie wierzyłam w to już, ale listy Janki dodały mi otuchy. Panie Klaudyuszu, powiedz pan mamie, że tatko powrócił!

— Naturalnie, wszystko jest możliwe.

— To pewne. Janka widziała we śnie mego ojca powracającego, a jej przecucia nie mylą nigdy. Ach! mamie, gdyby to się stało, jakże szczęśliwi bylibyśmy wszyscy.

— Ach! moje najdroższe dziecko, oby cię Bóg wysłuchał!

Spojrzała na Klaudyusza, jakby chcąc po-wiedzieć: „A jednak zdradziłam go!”

Ale on niezadowolony odwrócił oczy. Nie umiał tak jak ona grać gładko komedii.

Kiedy po obiedzie młodzieniec odszedł aby z babką przepędzić resztę wieczoru, doktor dał folgę swemu podrażnieniu i zrobił kochance scenę.

— Doprawdy żałuję że przyjechał.

— Mogłeś odjechać. Istotnie sytuacja była drażliwa i nieprzyjemna.

Ten grzeczny ton bardzo mu się niepodobał. Bębnił nerwowo palcami po stole. Wreszcie wstał.

— Dobranoc. Przyjadę wtedy, gdy będę pe-wny, że cię zastanę samą.

— Czyż mogłam przewidzieć, że przyjedzie mój syn... twój zięć złośniku brzydkil...

„Brzydki złośnik” usiadł znowu i pod wpły-wem słodkiego spojrzenia i uśmiechu Marion uspokoił się. Zachował jednak urazę do Fran-ciszka, do pani Lerbien i do całego Villa d'Aray.

Zostawiwszy córkę na czterdzieści osiem godzin samą w Normandii, Ginetta w drugiej połowie sierpnia zjawiła się niespodziewanie w Paryżu, nie uprzedziwszy nikogo o swem przybyciu. Znalazszy się w mieszkaniu nie za-pytała o nic służby, pewna że służący zostali przez Klaudyusza wyfresowani i przekupieni sutymi napiwkami.

Natomiast rozpoczęła drobiazgową rewizję pokoju męża, szczególnie zaś starannie prze-trząsnęła biórko, którego wszystkie skrytki znała doskonale.

Nie znalazła nic podejrzanego. Klaudyusz widocznie miał się na baczności. W sypialni Ginetta otworzyła szafę z ubraniami Klaudyusza. W bocznej kieszeni wiosennej zarzutki znalazła rękawiczkę damską. I wielkość i zapach perfum naprowadzały jej na myśl Marion. Zresztą dokto-rowa przypominała sobie, że widziała tę rękawiczkę na ręce przyjaciółki.

To było już coś więcej niż podejrzenie. To była prawie pewność. Ginetta odłożyła niedy-skretną rękawiczkę na bok, zachowując ten dowód niewierności Klaudyusza na odpowiednią chwilę.

Klaudyusz, który jadał zwykle za domem, właśnie tego wieczoru chciał napisać w domu artykuł do czasopisma lekarskiego, przyszedł więc na obiad.

Był mocno i nieprzyjemnie zdumiony kiedy zobaczył Ginetę spokojnie siedzącą przy stole. Ona zdawała się nie spostrzegać jego zmieszania. Najspokojniej w świecie zapytała o zdro-wie Marion i jej matki, o ich mieszkanie wille Davray, o termin wyjazdu Franciszka na front, o rezultaty definitywne poszukiwań za Ksawe-rym i rozmaite inne obojętne rzeczy.

Doktor odpowiadał skwapliwie, uważając aby się nie zaplątać. Pocieszał się że jego brzydka żona nie spostrzegła jednakowoż niczego. Żony są zawsze ślepe o ile chodzi o mę-zów. Stał się też dla niej niezwykle uprzejmym, prawie nadskakującym.

Ginetta nazajutrz odjechała. Klaudyusz ode-tchnął z ulgą.

Z biegiem czasu, im więcej zacieśniały się węzły fizyczne i moralne między nim a jego uroczą kochanką, tem więcej granie komedii stawało mu się wprost nieznośnem. Wszystko co miał w sobie najlepszego i najistotniejszego, to należało do Marion. Dla Ginetty pozostawało

tylko kłamstwo i obłuda, albowiem prawdziwa miłość nie zna podziału.

Na początku września musiał jednakże po-jechać na trzy tygodnie po żonę i po córkę do Normandii. To rozłączenie z Marion, tęsknota za jej uśmiechem i pocałunkami stały się dla niego męczarnią okrutną. Dzień przedstawiał mu się jako pusłka ogromna, w której nic nie ma dla czego by warto żyć. Przechadzki, czy-tania, samotne marzenia na plaży, rozmowy z Janką i z żoną, wszystko to przypominało mu kobietę, do której należał całym jestestwem. Każdej nocy śniło mu się, że ona mu się wy-wyka. Budził się przerażony, zdenerwowany i spostrzegał przy sobie... żonę.

Marion i Klaudyusz nie pisywali do siebie, albowiem wiedzieli dobrze, że dla kochanków niema nic zdradniejszego nad listy. A jednak Klaudyusz usiłował ludzić się, że Marion może przecież napisać i kilkakrotnie chodził do biura pocztowego w tej nadziei, że może poczmistrz wręczy mu list od jego pięknej jasnowłosej.

Nareszcie państwo Eliennaut powrócili do Paryża. Następnego dnia po powrocie Ginetta przypadkowo znalazła się w przedpokoju, kiedy ktoś zadzwonił. Był to szofer-dorożkarz, który trzymał w ręku parasol męski.

— Pan doktor zostawił ten parasol w moim aucie.

— Dziękuję. Proszę chwilę — rzekła Ginetta tknięta nagle przecuciem.

Sięgnęła do kieszeni i wyjmując banknot dwudziestofrankowy rzekła spokojnie:

— Pan zna mojego męża?

— Naturalnie. Pan doktor leczył mojego brata Grzegorza.

— Dokąd odwiózł pan mojego męża?

— Na ulicę des Ombres. Z pewnością do jakiegoś ciężko chorego, bo pan doktor kazał jechać bardzo prędko.

— Czy nie przypomnia pan sobie numeru?

— Nie. Ale to jest krótka uliczka. To jest mały dom po stronie numerów parzystych. Dzie-kuje pan bardzo i proszę wyrazić moje usza-nowanie panu doktorowi.

— Ginetta wiedziała już to, co chciała wie-dzieć. Następnego dnia była na czatach na ulicy des Ombres i ukryła się w loży dozorczyńni. Po długim czekaniu zobaczyła męża wychodzącego w towarzystwie Marion.

(Ciąg cały nastąpi).

**Ostrzeżenie!** Wobec tego, iż naśladowcy naszej firmy i marki ochronnej „PALATYN” szumnymi ogłoszeniami wprowadzają w błąd kupują-cych, zawiadamiamy, że jesteśmy wyłącznymi właścicielami

**FIRMY I MARKI OCHRONNEJ „PALATYN”**

zgłoszonej w Urzędzie Patentowym Redubliki Polskiej za Nr. 658/608 i zarejestrowanej w Sądzie Okręgowym w Łodzi za Nr. 711.

Przeciwko naśladowcom występujemy na drogę sądową. JAN WŁ. SZULC i SKA „PALATYN”

Generalny zastępca na Galicyę: **Jakób Brykman, Łódź, ulica Zachodnia L. 41.**